Leigh Brackett

Gwiezdny Legion

(The Stellar Legion)

Planet Stories Winter 1940
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Cisza w koszarach podobna była do pokrywy przyciskającej ciasno zwinięte sprężyny. Mężczyźni w pogniecionych mundurach – cudzoziemcy z Gwiezdnego Legionu, szczury kosmiczne, wyrzutki Układu Słonecznego – pocili się w posępnym dusznym upale wenusjańskich bagien przed deszczem. Pocili się i nasłuchiwali.

Metalowe drzwi otworzyły się z hukiem, wpuszczając Lehna, młodego wenusjańskiego dowódcę, i wszyscy ludzie raptownie zerwali się na nogi. Ian MacIan, siwowłosy, opalony promieniami kosmosu Ziemianin, spragniony tylko i wyłącznie akcji; Thekla, zuchwały Marsjanin z dolnych kanałów, uśmiechając się jak łasica stał obok Bhaka, potężnego dusiciela z Tytana. Wszystkie szybkie, nerwowe spojrzenia wbijały się w Lehna.

Młody oficer stał w milczeniu, w otwartych drzwiach, pociągając za końce jasnych wąsów; dla przyglądającego mu się MacIana, jego wymuskana, czysta postać, wyglądała zupełnie niestosownie, na tym brutalnym pustkowiu, dziczy i żelaznych ludzi. Za jego plecami wieczne mgły wiły się cienką zasłoną nad bagnem, rozciągając się na wiele mil poza podmokłe fortyfikacje ziemne; przebijał się przez nie dźwięk, którego już od wielu dni słuchały wszystkie uszy, niskie, monotonne popiskiwanie, które zdawało się dźwięczeć echem aż po same krańce tej krainy. Nahali, sześciostopowi, szkarłatnoocy mieszkańcy bagien, którym gołe ręce wystarczały już jako broń, modlili się do swych bogów o deszcz. Kiedy nadejdzie, ta gorąca, gwałtowna ulewa południowej Wenus, Nahali runą łuskowatą falą na fort.

Tylko fosa wypełniona naładowaną prądem wodą i cztery elektro-działa stały między Legionem i hordą. Jeśli te środki zawiodą, będzie to oznaczało koniec życia dwustu istnień, przerwanie kręgu ochronnych fortów, splądrowanie i spustoszenie żyznych wyżyn. MacIan spoglądał na jasną, inteligentną, młodą twarz Lehna i zastanawiał się cynicznie, czy jest on wystarczająco silnym człowiekiem, aby wykonywać swoją pracę.

Lehn odezwał się tak gwałtownie, że ludzie aż drgnęli.

— Proszę o ochotników. Zwiad na terytorium Nahali; wiecie wystarczająco dobrze, co to znaczy. Trzech ludzi. Słucham?

Ian MacIan wystąpił do przodu, a zaraz za nim Marsjanin Thekla. Tytańczyk Bhak zawahał się, jego dziwnie jasne, puste oczy strzeliły spojrzeniem od Thekli do Lehna i z powrotem do MacIana. Potem również wystąpił, a jego owłosiona twarz wykrzywiła się w chytrym uśmiechu.

Lehn zmierzył ich wzrokiem, jego usta wykrzywiły się w niesmaku, pod jasnymi wąsami. W końcu skinął głową i powiedział:

— Zameldujcie się za godzinę, lekki ekwipunek. — Odwracając się aby wyjść, dodał niemal po namyśle: — MacIan, zamelduj się w mojej kwaterze. Natychmiast.

Koścista, celtycka twarz MacIana zacisnęła się, a jego niebieskie oczy zwęziły się nieufnie. Ale ruszył za Lehnem, jego chude, silne ciało było wyprostowane jak struna, tak samo jak ciało Wenusjanina, i żadne oko, które by ich obserwowało, nie dostrzegłoby śladu przyjaźni między nimi.

Thekla zaśmiał się bezgłośnie, jak kot ze swymi szpiczastymi białymi zębami.

— Obaj warci siebie — wyszeptał. — Mam nadzieję, że poduszą się wzajemnie!

Bhak chrząknął, zaciskając potężne dłonie o sześciu palcach.

W kwaterze Lehna, jego różowa twarz zarumieniła się, kiedy kroczył w tą i z powrotem, podczas gdy MacIan czekał z powagą. Było dosyć jasne, co się zbliża; MacIan poczuł, jak wzbiera w nim dawny gorzki defensywny gniew.

— Patrz — powiedział sobie w duchu. — Książki. Dobre cygara. Zdjęcie dziewczyny na stole. Miałeś kiedyś to wszystko, ty cholerny głupcze. Dlaczego nie mogłeś...

Lehn zatrzymał się przed nim nagle, z utkwionym w niego spojrzeniem szarych oczu.

— Jestem tu nowy, MacIan — powiedział. — Ale jesteśmy związani z Legionem już od pięciu pokoleń i znam prawo; nikogo nie wolno pytać o jego przeszłość. Mam zamiar złamać to prawo. Dlaczego tutaj jesteś, MacIan?

Twarz MacIana pod jego siwymi włosami zrobiła się kanciasta i twarda jak Tantallon Rock. Nic nie powiedział.

— Próbuję ci pomóc — kontynuował Lehn. — Byłeś oficerem; każdy człowiek w koszarach, wie o tym. Jeśli jesteś tutaj z jakiegokolwiek powodu poza wykroczeniem przeciwko służbie, możesz znów zostać oficerem. Zwolnię cię ze specjalnego okresu służby; możesz zacząć przygotowywać się do egzaminów. Nie musisz marnować się w szeregach. I cóż?

Oczy MacIana były niewidoczne, ale jego głos brzmiał szorstko.

— Co się za tym kryje, Lehn? Jaki, do diabła, masz w tym cel?

Spojrzenie Wenusjanina zawahało się; przez chwilę chłopiec patrzył na mężczyznę, a MacIan poczuł przyśpieszone bicie serca. Potem wszystko minęło, a Lehn powiedział krótko.

— Jeśli uważasz, że koszary są dla ciebie odpowiednim miejscem, możesz tam zostać, to jasne. Odmaszerować!

MacIan przez chwilę wpatrywał się w niego na wpół niewidzącym, spojrzeniem, zaciskając i rozluźniając delikatne długie dłonie, opuszczone po bokach. Potem odwrócił się ze złośliwym wyrazem na twarzy i wyszedł.

Prawie godzinę później, stał z Marsjaninem Theklą na wale ziemnym i czekał. Monotonne głosy piszczałek ciągle wznosiły modły na bagnach; MacIan, patrząc w górę, na ciężkie niebo, równie mocno modlił się, by deszcz nie padał. Jeszcze nie teraz. Gdyby zaczęło padać przed

wyruszeniem patrolu, patrol nie wyruszy; Nahali wyruszą w drogę razem z pierwszą kroplą.

— I moja szansa zniknie — wyszeptał do siebie.

Żywe, czarne oczy Thekli obserwowały go, jak zawsze; z bezczelną, kpiącą analizą, która rozgniewała Szkota.

— I cóż — stwierdził sucho. — Idealny żołnierz, dzielny ochotnik. Z miłości do Wenus, Thekla, czy miłości do Legionu?

— Być może — odparł cicho Thekla — z tego samego powodu, co ty, Ziemianinie. A może nie. — Jego twarz, śniada, twarda twarz banity z dolnego kanału, zwróciła się nagle w stronę opatulonego przez mgły bagna. — Miłość do Wenus! — warknął. — Kto mógłby pokochać tę nędzną łaźnię parową? Nawet Lehn by tego nie zrobił, gdyby miał mózg choćby rozmiarów pchły!

— Mars jest lepszy, co? — MacIan poczuł nagłą inspirację. — Zimne, suche powietrze, małe ciemne kobiety i sklepy z winem na Dolnym Kanale Jekkara. Chciałbyś tam wrócić, co?

W duchu, pomyślał z dziką przyjemnością: „Odpłacę ci pięknym za nadobne, ty mały skunksie. Dręczyłeś mnie tym, co utraciłem tak bardzo, że zabiłbym cię z rozkoszą, gdyby to nie było wbrew moim planom. No dobrze, sprawdź, czy dasz mi radę!”

Powoli zapadał zmierzch; ciemna twarz Thekli była rozmazana, ale MacIan wiedział, że trafił prosto w cel.

— Fontanny w pałacowych ogrodach, Thekla; słońce strzelające w niebo nad czerwonymi pustyniami; śpiewające dziewczyny i thil u Madame Kan. Pamiętasz thil, Thekla? Lodowaty i zielonkawy, bulgoczący w niebieskich szklankach?

Wiedział, dlaczego Thekla warknął i rzucił się na niego, i to nie tyle Theklą cisnął o miękką ziemię, co raczej wysokim młodzieńcem o jasnych wąsach, który w dobrych intencjach próbował pchnąć go na właściwą drogę. Zabawne, pomyślał MacIan, że te dobre intencje bolą gorzej niż inne.

Ogromna łapa zacisnęła się na jego ramieniu, odciągając go do tyłu. Kolejna, jak zauważył, szarpnęła Theklę, stawiając go w pionie. Z góry spoglądała na nich owłosiona parodia twarzy Bhaka z Tytana.

— Słuchajcie — warknął w swoim dziwnie wymawianym esperanto. — Wiem, co jest grane. Mam uszy, a domy we wiosce mają cienkie ściany. Słyszałem co mówiła dziewczyna Nahali. Nie wiem, który z was ma skarb, ale chcę go. Jeśli go nie dostanę...

Jego palce przesunęły się wyżej po ramieniu MacIana, chwyciły go za gardło. Sześć palców, jak żelazne imadła. MacIan usłyszał, jak Thekla dusi się i przeklina; udało mu się złapać oddech:

— Znalazłeś się w złym miejscu, Bhak. Jesteśmy mężczyznami. Myślałem, że dusisz tylko kobiety.

Uchwyt odrobinę się rozluźnił.

— Mężczyzn, także — powiedział powoli Bhak. — Dlatego musiałem uciekać z Tytana. Dlatego musiałem uciekać zewsząd. Mężczyzn czy kobiety – każdego, kto się będzie ze mnie śmiał.

MacIan popatrzył na tę odpychającą twarz, o pustych oczach, i dziwił się, że ktokolwiek mógłby się z niej śmiać. Można było jej żałować, zasłonić ją aby nie straszyła, ale nie śmiać się z niej.

Palce Bhaka gwałtownie się osunęły.

— Śmieją się ze mnie — powtórzył żałośnie — i uciekają. Wiem, że jestem brzydki. Ale pragnę przyjaciół i żony, jak wszyscy inni. Zwłaszcza żony. Ale śmieją się ze mnie, mówię o kobietach, kiedy je pytam. I wtedy… — Nagle zatrząsł się z wściekłości, a jego twarz zmieniła się w twarz bestii, ślepej i brutalnej. — I wtedy je zabijam. Zabijam te cholerne małe lisice, które się ze mnie śmieją!

Tępo wpatrywał się w swoje wielkie dłonie.

— Potem muszę uciekać. Zawsze uciekam, sam. — Jasne, puste oczy spojrzały w oczy MacIana ze śmiertelną pewnością. — Dlatego chcę pieniędzy. Kiedy będę miał pieniądze, polubią mnie. Kobiety zawsze lubią mężczyzn, którzy mają pieniądze. Jeśli zabiję jednego z was, znowu będę musiał uciekać. Ale jeżeli będę miał kogoś, kto będzie ze mną, nie mam nic przeciwko temu.

Thekla pokazał spiczaste zęby.

— Spróbuj udusić dziewczynę Nahali, Bhak. Wtedy się ciebie pozbędziemy.

Bhak chrząknął.

— Nie jestem głupcem. Wiem, co Nahali robią człowiekowi. Ale chcę pieniędzy, o których opowiadała ta dziewczyna, i dostanę je. Zdobędę je zaraz, niech tylko przyjedzie Lehn.

Stał nad nimi, szczerząc zęby. MacIan cofnął się, rozdarty między litością a wstrętem.

— Legion to z pewnością wysypisko śmieci Układu — wymamrotał po marsjańsku, wystarczająco głośno, by Thekla go usłyszał, i uśmiechnął się, słysząc zduszone wyzwisko przybysza z dolnych kanałów. Zduszone, ponieważ zbliżał się Lehn, a jego ciężkie buty do chodzenia po wodzie, uderzały o mokrą ziemię.

Bez słowa, cała trójka zajęła miejsca za oficerem, którego twarz przybrała nieznany im wcześniej, kamienny i ponury wyraz. MacIan zastanawiał się, czy to był efekt gniewu na niego, czy strach przed tym, co ich czeka na bagnach. Potem wzruszył ramionami; młody wilczek musiał iść własną ścieżką, gdziekolwiek by ona nie wiodła. I MacIan czerpał z tej myśli pewną surową ulgę. Jego własna droga była nieodwołalnie ustalona; nie było wątpliwości, nie było też odwrotu. Nigdy więcej nie będzie musiał przechodzić przez to, przez co przechodził teraz Lehn. Musiał tylko czekać.

Pomost z desek zajęczał pod nimi, prawie dotykając wody w fosie. Ta fosa, była naprawdę pomysłową rzeczą. Nahali normalnie mogli pływać nawet we śnie, ale kiedy rozmieszczone wzdłuż dna pręty przewodnika były włączone, dosłownie wypalały swoje obwody z przeciążenia. Bagienne szczury miały większy ładunek niż jakikolwiek ziemski węgorz elektryczny.

Ian MacIan, patrząc na światła lichej wioszczyny leżącej poniżej fortu, pomyślał, że Nahali mają przynajmniej jedną cechę, zdecydowanie ludzką. Bębnienie trójklawiaturowego wenusjańskiego pianina odbijało się echem w ciężkim powietrzu; towarzyszyły mu także krzyki i śmiech, które wskazywały na swobodny przepływ „soku z bagien". To ogniwo w łańcuchu posterunków otaczających mokradła, posiadało pełny garnizon tylko w okresie deszczy, a więc mniej wojowniczy Nahali zajęci byli teraz żniwami, obskubując ze wszystkiego co się dało, żołnierzy i motłoch, który za nimi przybywał.

Dziwne stworzenia, bagienne szczury, z rubinowymi oczyma i opalizującymi łuskami. Natura, adaptując je do mokrego, parnego środowiska, ustawiła je gdzieś między ciepłokrwistymi ssakami a zimnokrwistymi gadami; miały antropoidalne kształty, były wielkości człowieka, miały kapryśne usposobienie. Najbardziej niezwykłą rzeczą u nich, był aparat oddechowy: każda komórka ich nabłonka stanowiła małe urządzenie elektrolityczne, do wydobywania tlenu z wody. Ponieważ żyli w równym stopniu na lądzie i w wodzie, a przy tym bagienne powietrze było niemal przesiąknięte mgłą, doskonale im to odpowiadało. Właśnie dlatego musieli czekać na deszcze, aby najechać żyzne wyżyny; i dlatego setki Legionistów z różnych światów musiało oblewać się potem na pasie mokrej ziemi między bagnami a płaskowyżem, aby ich powstrzymać.

MacIan był ostatni w rządku. W chwili gdy jego stopa opuściła deski pomostu, cztery głowy podskoczyły jednym ruchem, unosząc się w stronę ciemniejącego nieba.

— Deszcz!

Wielkie krople, rozpryskujące się powoli, zaszeptały szmerem przez bagno. Piszczałki zamilkły, powodując brakiem swego dźwięku, po tak długim czasie, lekką głuchość w uszach. A MacIan, patrząc na Lehna, zaklął wściekle w duchu.

Trzej mężczyźni zatrzymali się, oczekując rozkazu powrotu, ale Lehn machnął ręką, aby szli dalej.

— Ale pada deszcz — zaprotestował Bhak. — Zostaniemy złapani na zewnątrz przez atak.

Dziwnie twarda twarz oficera zwróciła się w ich stronę.

— Nie — powiedział z osobliwą pewnością w głosie, — nie zaatakują. Jeszcze nie.

Szli dalej, w stronę bagna, które milczące było jeszcze gorsze, niż wypełnione odgłosem modlących się piszczałek. A MacIan, patrząc przed siebie na grupę dziwnie dobranych ludzi, ponuro brnących przez błoto, dostrzegł nagle coś mrocznego i skrytego, coś więcej niż zwykłą groźbę śmierci, która zawsze wisiała nad patrolem rozpoznawczym.

Bagna zamknęły się wokół nich. Na Wenus nigdy nie jest do końca ciemno, dzięki gęstej, rozpraszającej atmosferze. Było wystarczająco dużo światła, by mogli widzieć rozgałęzienia, błotniste szlaki, wielkie sadzawki stojącej wody, pokrytej roślinnością, rozłożyste liha-drzewa z ich

ogromnymi pręcikami pyłkowymi, wszystko ociekające wodą w powoli padającym deszczu. W wiszącej w powietrzu ciszy, MacIan słyszał stukanie tego deszczu z odległości mili; ponury zwiastun zbliżającej się ulewy.

Fort i wioska zniknęły w mokrym zmroku. Buty Lehna cmokały w błocie na szlaku, który stopniowo wspinał się na grzbiet wyżej położonego terenu. Po dotarciu na szczyt, Lehn odwrócił się gwałtownie, zdawało się, że elektro-pistolet zmaterializował się w jego dłoni zupełnie znikąd. MacIana zaskoczył ponury wyraz różowej, młodej twarzy.

— Stać tam gdzie jesteście — polecił cicho Lehn. — Podnieść ręce do góry. I nie odzywać się, dopóki nie skończę.

Poczekał chwilę, deszcz bębnił na jego wodoodpornym ubraniu, ociekając mu z końców jasnych wąsów. Pozostali posłuchali go. Bhak wyglądał jak wielki uśmiechnięty ogr, pomiędzy dwoma mniejszymi ludźmi. Lehn spokojnie mówił dalej.

— Ktoś nas sprzedał Nahali. Dlatego wiem, że nie zaatakują, dopóki nie uzyskają pomocy, której się spodziewają. Musiałem się dowiedzieć, o ile to możliwe, jakie przygotowania zostały poczynione w celu zniszczenia naszego zaopatrzenia w energię elektryczną, ponieważ to nasz jedyny wrażliwy punkt. Ale, zwołując tę grupę, miałem podwójny cel. Chyba się domyślacie, jaki.

MacIan domyślał się. Lehn kontynuował:

— Zdrajca miał swoją cenę; ucieczka z Legionu, i z Wenus, przez bagna do Lhivy, gdzie można dostać się na pokład międzyplanetarnego trampa. Jego jedynym problemem było wydostanie się z fortu, tak by nikt tego nie zauważył, ponieważ wszystkie urlopy zostały tymczasowo anulowane.

Szarozielone oczy Lehna były lodowate.

— I ja dałem mu na to szansę.

Bhak roześmiał się, pustym, fałszywie brzmiącym rykiem.

— Widzicie? To właśnie powiedziała mi dziewczyna Nahali. Mówiła: „Teraz może dostać to, czego potrzebuje. Ucieknie przed deszczem, prawdopodobnie z patrolem; wtedy nasi ludzie będą mogli zaatakować.” Wiem, czego potrzebował. Pieniędzy! I ja, je chcę.

— Zamknij się! — elektro-pistolet Lehna wskazał stanowczym gestem. — A ja chcę prawdy. Który z was jest zdrajcą?

Spiczaste białe zęby Thekli lśniły.

— MacIan kocha Legion, panie komendancie. On nie może być winny.

Spojrzenie Lehna krótko zmierzyło MacIana, i ponownie Szkot pochwycił przelotny błysk czegoś bardziej miękkiego, pod tą świeżą twardością. To było coś, co zabrało go w przeszłość, do dni kiedy był zielonym porucznikiem w Straży Terrańskiej, a doświadczony, zahartowany w boju starszy oficer, przesłonił mu cały świat.

To było coś, co skłoniło Lehna do zaoferowania mu szansy, kiedy zastawiał swoją pułapkę. To było coś, co sprawiło, że Lehn stał się dla niego trudniejszym problemem, niż Bhak lub Thekla. To był kult bohaterów.

MacIan jęknął w duchu.

— Niech pan posłucha — powiedział. — Jesteśmy w kraju Nahali. W każdej chwili mogą pojawić się kłopoty. Myśli pan, że to jest czas na pracę detektywistyczną? Przecież mógł pan złapać niewłaściwych ludzi. Lepiej dokończyć ten rekonesans i zająć się tożsamością zdrajcy, kiedy z powrotem znajdziemy się w forcie.

— Nie jesteś teraz oficerem, MacIan! — warknął Lehn. — Mówcie, a ja chcę prawdy. Ty, Thekla!

Czarne oczy Thekli spoglądały z goryczą.

— Równie dobrze mogę siedzieć tutaj, jak gdziekolwiek indziej, skoro nie mogę wracać na Marsa. A jak miałbym tam wrócić, z wiszącym mi nad głową stryczkiem?

— MacIan? — spojrzenie szarych oczu Lehna utkwione było sztywno nad jego głową. A MacIan zadygotał nagle z gniewu; gniewu przeciwko życiu, które przywiodło go tu gdzie był, przeciwko Lehnowi, który był symbolem wszystkiego, co odrzucił.

— Myśl sobie co chcesz — wyszeptał — i niech cię diabli!

Ruch Bhaka był taki szybki, że zaskoczył ich wszystkich nieprzygotowanych. Używając Marsjanina jak dziecięcego woreczka z grochem, podniósł go i rzucił nim w Lehna. Elektro-pistolet posłał nieszkodliwe wyładowanie w puste powietrze, i obaj już taplali się w błocie. MacIan skoczył do przodu, ale wielkie palce Bhaka zacisnęły się na jego szyi. Wolną ręką Tytańczyk pociągnął do góry również i Thekla; trzymał ich obu bezradnych w powietrzu, jednocześnie kopiąc leżącego Lehna w skroń.

W ułamku sekundy przed tym, zanim pochłonął go brak świadomości, oczy Lehna spotkały się ze spojrzeniem MacIana. Były to straszne oczy. MacIan jęknął:

— Ty młody głupcze!

Potem Lehn spoczął nieruchomo, a palce Bhaka dusiły MacIana.

— Który z was? — warknął Tytańczyk. — Dajcie mi forsę, a pozwolę wam odejść. Zdobędę te pieniądze, nawet jeśli będę musiał was zabić. Wtedy dziewczyny nie będą się ze mnie śmiały. Mówcie. Który?

Niebieskie oczy MacIana nagle się rozszerzyły. Z całej siły walczył, by wykrzyczeć jedno słowo:

— Nahali!

Bhak upuścił ich z chrząknięciem. Machając wielkimi dłońmi, zapominając o broni, stanął by odeprzeć napastników. W zamglonym deszczem zmroku pojawiły się pędzące ciała, błysk szkarłatnych oczu i trójkątnych ust śmiejących się w dziwnych, pozbawionych nosa twarzach. Potem łuskowate, podobne do człowieka stworzenia, rzuciły się z rozpędem na Legionistów.

Pistolet MacIana plunął niebieskim płomieniem; dwóch Nahali padło, porażonych prądem, ale było ich zbyt wielu. Zerwali mu z głowy hełm, więc przemoczone siwe włosy oblepiły mu oczy, oślepiając go; jego okryte gumą pięści i stopy, uderzały w gadzie ciała. Gdzieś poza zasięgiem

wzroku, Thekla przeklinał co tchu, w slangu z dolnych kanałów. A Lehn, ciągle oszołomiony, odważnie usiłował pozbierać się na nogi; hełm ochronił go przed pełną siłą kopnięcia Bhaka.

Olbrzymi Tytańczyk niemal zatonął w roju czerwonookich bagiennych szczurów. MacIan nagle zauważył, że kiedy Tytańczyk przygotowywał się do duszenia swoich towarzyszy, zdjął zawadzające mu rękawice. Wielkie sześciopalczaste dłonie wyciągnęły się łapczywie w kierunku gardła Nahali.

— Bhak! — wrzasnął MacIan. — Nie ...!

Jego okrzyk utonął w ciężkim śmiechu Tytańczyka; ogromne łapy zacisnęły się w radosnym uchwycie. W tej samej chwili wielkie ciało Bhaka przechyliło się i drgnęło konwulsyjnie; osunął się na bok, a serce wypalił mu przepływający przez ręce prąd.

Pistolet Lehna przemówił. W powietrzu uniósł się zapach ozonu, a Nahali krzyczeli jak zranione gady. Wenusjanin krzyknął z nagłym bólem i zamilkł; MacIan, walcząc żeby go nie przewrócili, zobaczył go jak leży przygnieciony stertą łuskowatych ciał.

Potem lepka łapa dotknęła jego własnej twarzy. Jęknął, gdy ogarnęło go odrętwienie i osunął się w stan na wpół świadomości.

Pamiętał potem jak przez mgłę, że na przemian go niesiono i przeciągano, przez jeziorka ciepłej wody i po twardej ziemi. Wydawało mu się mgliście, że na koniec rzucono go bezceremonialnie pod drzewo liha na polanie, na której stały jakieś chaty, i tak go pozostawiono.

Po, jak mu się zdawało, bardzo długim czasie, usiadł i wszystko dookoła było wyraźne. Jeszcze bardziej wyraźna była chuda, ciemna twarz Thekli, który patrzył na niego z rozbawieniem.

Marsjanin obnażył swoje szpiczaste białe zęby i powiedział:

— Witaj, zdrajco.

MacIan wstałby i go uderzył, gdyby nie był taki słaby i nie kręciło mu się w głowie. Po chwili zauważył, że Thekla ma broń.

Jego własna kabura była pusta. MacIan wstał powoli, odsuwając białe włosy z oczu, i zawołał:

— Ty brudny mały szczurze!

Thekla zaśmiał się, jak lis mógłby się śmiać z zaskoczonego psa.

— No dalej, przeklinaj mnie, MacIan. Ty pyszny, bezczelny renegacie! Miałeś rację; Wolałbym raczej zadyndać na Marsie niż przeżyć kolejny miesiąc w tej przeklętej łaźni parowej! I to ja mogę śmiać się z ciebie, Ianie MacIan! Wracam na pustynię i do sklepów z winem na Dolnym Kanale Jekkara. Dziewczyna Nahali wcale nie miała na myśli pieniędzy, ona mówiła o operacji plastycznej, która da mi inną twarz. Jestem wolny. A ty umrzesz, właśnie tutaj, w tym parszywym błocie!

Powoli ponury uśmiech wykrzywił twarz MacIana, ale nic nie powiedział.

— Och, rozumiem — powiedział drwiąco Thekla. — Twoja przeklęta duma i twój honor! Ale ty nie umrzesz honorowo, nie bardziej niż sposób w jaki żyłeś.

Oczy MacIana spoglądały spokojnie i pogardliwie.

Spiczaste zęby zalśniły ponownie.

— Nie rozumiesz, MacIan. Lehn nie umrze. Wróci, aby stawić czoła konsekwencjom, po tym jak jego placówka zostanie zniszczona. Nie wiem, co mu zrobią, ale to nie będzie nic miłego. I pamiętaj, MacIan, on myśli, że to ty go sprzedałeś. Myśli, że to ty zniszczyłeś jego posterunek, jego ludzi, jego karierę, jego honor; ty szmato! Pomyśl o tym, kiedy bagienne szczury zaczną nad tobą pracować – oni lubią od czasu do czasu trochę się zabawić – i pamiętaj, że ja będę się śmiał!

MacIan milczał przez długi czas, z zaciśniętymi po bokach rękami, jego kanciasta twarz, pod ociekającymi wodą białymi włosami, wyglądała jak wykuta w ciemnym kamieniu. Potem wyszeptał:

— Dlaczego?

Wzrok Thekli napotkały jego, z nagłą gorącą nienawiścią.

— Bo chcę zobaczyć, jak wasze przeklęte, dumne, aroganckie nosy wycierają ziemię!

MacIan skinął głową. Jego twarz wyglądała dziwnie, jakby przesłoniła ją zasłona.

— Gdzie jest Lehn?

Thekla wskazał najbliższą chatę.

— Ale to ci nic nie pomoże. Szczury dały mu zbyt dużą dawkę, przypadkowo, oczywiście, i jeszcze długo będzie nieprzytomny.

MacIan ruszył niepewnie przez deszcz w stronę chaty. Zza pleców usłyszał głos Thekli:

— Nie próbuj niczego, MacIan. Mogę cię zastrzelić, zanim znajdziesz się choćby w pobliżu miejsca z którego mógłbyś uciec, a jeżeli nawet by ci się udało, to beze mnie nie zdołasz znaleźć drogi powrotnej. Nahali zbierają się teraz, na całych bagnach, w ciągu pół godziny pomaszerują na fort, a następnie na płaskowyże. Wyślą dla mnie eskortę, zanim odejdą, ale ty i Lehn będziecie musieli poczekać aż wrócą. Możesz sobie o mnie pomyśleć, kiedy będziesz czekał na śmierć, MacIan; ja, będę w drodze do Lhivy i do wolności!

MacIan nic nie odpowiedział. Rytm deszczu zmienił się z powolnego bębnienia w szybki, okrutny szelest; widział krople, rozbijające się prawie na mgłę, na szerokich liściach drzew liha. Krople chłostały jego ciało jak bicze i po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że jest rozebrany do spodni i koszuli. Bez ochronnego gumowego kombinezonu, Thekla mógłby go porazić prądem znacznie szybciej niż Nahali, przy użyciu pistoletu służbowego.

Chata, która stała bardzo blisko, nagle wydała się daleka, tak daleka że ledwie ją widział. Błotnista ziemia zapadała i kołysała się mu pod nogami. MacIan gwałtownie szarpnął się by stanąć prosto. Gorączka. Każdy głupiec, który błąkał po bagnach bez odpowiedniego zabezpieczenia, stawał się jej pewną ofiarą. Spojrzał ponownie na Theklę,

bezpiecznego w hełmie i kombinezonie, uśmiechającego się jak łasica spod osłony gałęzi drzewa.

Chata powróciła na właściwe miejsce. Obolały, drżący nagle z lodowatego zimna, pochylił się i wszedł do środka. Lehn leżał tam, suchy, ale rozebrany jak MacIan. Jego młoda twarz była wciąż nieprzytomna. MacIan podniósł jego rękę i pozwolił opaść jej z powrotem bezwładnie na ziemię. Lehn ciągle był sparaliżowany po wstrząsie elektrycznym. Mogą minąć godziny, a nawet dni, zanim z tego wyjdzie. Być może nigdy, jeśli nikt nie zajmie się nim we właściwy sposób.

Potem MacIan musiał odrobinę oszaleć, z gorączki, szoku jaki przeżył także jego własny mózg, oraz od słów Thekli. Złapał obiema rękoma za koszulę Lehna, zaczął nim potrząsać, jakby chcąc mu wbić z powrotem zmysły do głowy, i krzyczał do niego ochryple i dziko.

— Ja chciałem tylko umrzeć! Po to właśnie zaciągnąłem się do Legionu, żeby umrzeć jak żołnierz, ponieważ nie mogłem żyć jak oficer. Ale to miała być honorowa śmierć, Lehn! W przeciwnym razie…

Przerwał w ataku dreszczy, a jego niebieskie oczy błyszczały pod białymi, rozwichrzonymi włosami.

— Okradłeś mnie z tego, do cholery! Ty i Thekla. Złapałeś mnie w pułapkę. Nie pozwoliłeś mi nawet przyzwoicie umrzeć. Byłem oficerem, Lehn, jak ty. Słyszysz mnie, młody głupcze? Musiałem wybrać między dwiema decyzjami, i wybrałem niewłaściwą. Straciłem cały swój oddział. Dwa i pół tysiąca ludzi, martwych.

— Mogli mnie wydalić na sądzie wojennym. To przecież był naprawdę błąd. Ale nie czekałem na to. Zrezygnowałem. Chciałem tylko umrzeć jak dobry żołnierz. Właśnie dlatego zgłosiłem się na ochotnika. A ty oszukałeś mnie, Lehn! Ty i Thekla.

Puścił bezwładne ciało i przykucnął nad nim, trzymając rozgorączkowaną głowę w dłoniach. Wiedział, że płacze, ale nie mógł przestać. Skóra mu płonęła i było mu zimno aż do szpiku kości.

Nagle popatrzył na Lehna jasnymi, szalonymi z gorączki oczyma.

— Bardzo dobrze — wyszeptał. — W takim razie, nie umrę. Nie możecie zabić mnie, ty i Thekla, kiedy ty ciągle wierzysz, że to ja cię zdradziłem. Zabiorę cię z powrotem, was obu i pokonamy ich. Powstrzymam Nahali przed zajęciem fortu, więc nie będziesz mógł powiedzieć, że to ja go sprzedałem. Sprawię, że mi uwierzysz!

Gdzieś, z daleka, słyszał śmiech Thekli.

MacIan kucał tam przez jakiś czas, mózg mu wirował. Poprzez stukanie deszczu i mgłę gorączki w głowie oraz naprzemienne ataki gorąca i lodowatego zimna, które wstrząsały jego ciałem, niektóre rzeczy dotarły do niego jak wystrzelone z procy kamienie.

Thekla miał pistolet, strzelający strumieniem elektryczności. Broń zaprojektowaną przeciwko Nahali, których układ nerwowy zbudowany był tak, że mógł przenieść pewien określony ładunek, ale nie większy, jak każdy zestaw przewodów. Wyładowanie o niskiej częstotliwości było

wystarczająco silne, aby zabić normalnego człowieka, ale tylko w idealnych warunkach; a warunki tutaj były wyjątkowo idealne. Mokre ubrania, mokra skóra, mokra ziemia, nawet powietrze nasycone wodą.

Dlatego też stosowano metal i gumę. Metal w jego pasie, w pasie Lehna; metalowa siatka, ponieważ wilgotne powietrze rozkładało wszystkie inne materiały. Guma na jego nogach, na nogach Lehna. Guma była izolatorem. Metal był przewodnikiem.

Jakaś część umysłu MacIana uświadamiała sobie, że musiałby być szalony, aby zrobić to, co planował. Ale mimo wszystko przystąpił do dzieła.

Dziesięć minut później opuścił chatę i przeszedł przez mokrą polanę w strugach deszczu. Thekla odszedł spod drzewa liha, do chaty bezpośrednio naprzeciwko tej należącej do Lehna; stał czujnie w drzwiach, z gotową do strzału bronią. Jego chytre czarne oczka dostrzegły dzikie, rozpaczliwe spojrzenie MacIana, rumieńce gorączki na jego szczupłych kościstych policzkach, i uśmiechnął się.

— Wracaj do chaty — powiedział. — Szkoda by było, żebyś zginął, zanim Nahali będą mieli możliwość spróbować na tobie elektroterapii.

MacIan nie zatrzymał się. Prawą rękę chował za plecami. Thekla zacisnął zęby.

— Wracaj, albo cię zabiję!

Buty MacIana cmokały w błocie. Ulewny deszcz spływał po jego białych włosach, po kościstej twarzy i chudych ramionach. I nie zawahał się ani przez chwilę.

Ostre zęby Thekli zalśniły w nagłym warknięciu. Jego palec nacisnął na spust; piorun niebieskiego płomienia z sykiem pomknął w stronę kroczącego Szkota.

W chwili, gdy odezwał się pistolet, prawa dłoń MacIana wystrzeliła do przodu. Jego ręka, prawie do samego ramienia, owinięta była jednym z gumowych butów Lehna, a wokół nadgarstka zamocowana była metalowa taśma; dwa połączone ze sobą siatkowe pasy. Wiązka niebieskiego ognia zebrała się w metalowej bransolecie, spłynęła po połączonych pasach i zginęła w ziemi.

Pistolet strzelał, dopóki nie stopiła się cewka. Thekla zaklął i rzucił nim w głowę MacIana. Szkot uchylił się przed nim i zerwał się do biegu, odrzucając but Lehna, aby mieć wolne ręce.

Thekla walczył jak szczur kanałowy, ale MacIan był większy i dał z siebie nawet więcej niż normalnie, napędzany szaleństwem gorączki. Powalił małego Marsjanina i związał go jego własnym pasem, a następnie zaczął szukać swojego ubrania i broni.

Znalazł je razem z rzeczami Lehna, w chacie obok. Jego zasobnik na pasie zawierał chininę; wypił dużą dawkę i od razu poczuł się lepiej. Po tym, kiedy sam się ubrał, poszedł, założył Lehnowi kombinezon oraz hełm, i położył go obok Thekli, który jęczał w błocie, powróciwszy do przytomności.

Uniósłszy głowę, MacIan zobaczył trzech mężczyzn Nahali, obserwujących go ostrożnie szkarłatnymi oczyma, skradając się w jego stronę.

Eskorta Thekli. I niewiele im zabrakło. Dwukrotnie lepkie łapy oparzyły mu twarz, zanim posłał całą trójkę w błoto, zwijających się, gdy przeciążenie przeszyło ich układy nerwowe.

Trójkątne usta w beznosych twarzach rozdziawiły się jak szeroko, przypominające dłonie łapy, szarpały konwulsyjnie za łuski na piersiach, a obserwujący ich śmierć MacIan, powiedział spokojnie:

— W szturmie na fort będą ich setki. Moja broń nie wystarczy. Ale jakoś muszę ich powstrzymać.

W tej chwili nie miał na to odpowiedzi. Wzruszył ramionami i kopnięciem zmusił Theklę do wstania.

— Wracamy do fortu, śmieciu — rozkazał i zaśmiał się.

Połączone pasy zapięte były teraz na szyi Thekli, a ich drugi koniec zaczepiony był na lufie pistoletu MacIana, tak aby przy każdym mocniejszym szarpnięciu mógł posłać przez nie wyładowanie.

— A co, jeśli się potknę? — warknął Thekla.

MacIan odpowiedział:

— Lepiej, żeby nie!

Lehn był duży i ciężki, ale MacIanowi w jakiś sposób udało się zarzucić go sobie na ramiona. I wyruszyli.

Granica bagna była w zasięgu wzroku, kiedy mózg MacIana na chwilę bardziej się przejaśnił. Kolejna dawka chininy rozpędziła mgły gorączki, więc fort, oddalony o jakieś pięćdziesiąt jardów, przyjął właściwą ostrość. MacIan upuścił Lehna plecami w błoto i stanął, trzymając dłoń na rękojeści broni.

W powoli zapadającym, mokrym świcie, widać było, że w wiosce roiło się od bagiennych szczurów. Tłoczyli się zwartą masą wzdłuż krawędzi fosy, a działa fortu milczały. MacIan zastanawiał się, dlaczego, dopóki nie dostrzegł, że tama dostarczająca energię dla turbiny została zerwana.

Thekla roześmiał się bezgłośnie.

— To mój pomysł, MacIan. Nahali nigdy by na to nie wpadli. Oni nie mogą się utopić, jak wiesz. Pokazałem im, jak zakraść się do zbiornika, tuż pod działami fortu, i pozostając pod wodą, rozluźnić kamienie wokół przelewu. Ciśnienie wody spowodowało resztę. Teraz nie ma energii dla wielkich dział ani prętów przewodzących w fosie.

Zwrócił dzikie czarne oczy na MacIana.

— Zrobiłeś z siebie głupca. Nie jesteś w stanie powstrzymać tych bagiennych szczurów przed zniszczeniem fortu. Nie jesteś w stanie powstrzymać mnie przed ucieczką, kiedy już to zrobią. Nie jesteś w stanie zmienić przekonania Lehna, kto za tym stoi. Te twoje przeklęte heroiczne wyczyny, nie zmieniły zupełnie niczego!

— Heroiczne wyczyny! — wychrypiał MacIan i zaśmiał się. — Może.

Z nagłą zawziętością zarzucił koniec połączonych pasów na niską gałąź drzewa liha, tak że Thekla musiał stanąć na palcach, aby się nie udusić. Potem, wpatrując się ślepo w oblężony fort, próbował znaleźć w pulsującej głowie jakiś sensowny pomysł.

— Było coś — wyszeptał. — Coś, o czym mówiłem tam na bagnach. Coś, co mój umysł próbował mi powiedzieć, tyle że byłem szalony. Co to było, Thekla?

Marsjanin milczał, a na jego ciemnej twarzy pojawił się zawzięty uśmiech. MacIan złapał go za ramiona i potrząsnął nim.

— Co to było?

Thekla krztusił się i szarpał, gdy metalowy pasek napinał się coraz bardziej.

— Nic, głupcze! Nic tylko Nahali i drzewa liha.

— Drzewa liha!

Świecące gorączką oczy MacIana, skierowały się na wielkie zielone strąki pręcików pyłkowych, wiszące wśród szerokich liści. Zadrżał, trochę z zimna, a trochę z radości. W szaleńczym tempie zaczął rozbierać Lehna i Theklę z gumowych kombinezonów.

Należący do Lehna, ponieważ był większy, rozwiesił jak namiot nad dwoma nisko wyrastającymi gałęziami. Kombinezon Thekli rozłożył pod nimi na ziemi. Następnie zaczął zrywać z drzewa liha strąk za strąkiem, rozrywając ich łupiny, pod osłoną zaimprowizowanego namiotu i wysypując znajdujący się w nich zielony proszek na rozłożone na ziemi ubranie.

Kiedy uzbierał się już dwumetrowy stos, odsunął się i wystrzelił w jego środek elektryczne wyładowanie.

Zaczął się unosić gęsty, oleisty, czarny dym, najpierw powoli, potem coraz mocniej, w miarę jak ogień się rozprzestrzeniał. Znad bagien wiał leniwy wiaterek, wyciągany przez chłodniejsze wyżyny poza fortem; poniósł on dym ze sobą i skierował go w stronę stłoczonej i przepychającej się masy na ziemnych fortyfikacjach.

Nahali na polu bitwy nagle zesztywnieli, padając i konwulsyjnie rozdzierając swoje ciała. Ulewny deszcz coraz mocniej wypłukiwał na nich sadzę z powietrza, pryskał nią na wszystkie strony, pozostawiając matową warstewkę na gadziej skórze, pokrytych łuskami piersiach. Coraz więcej z nich padało, w miarę jak dym gęstniał, podsycany przez pokrytego czarną sadzą szaleńca pod drzewem liha, aż w końcu na jego drodze pozostali już tylko Legioniści, wpatrując się tępo w powalone bagienne szczury.

Wijące się ciała zastygały w bezruchu śmierci. Setki innych, znajdujących się poza torem rozprzestrzeniającego się dymu, widząc, jak ich towarzysze umierają, uciekły z powrotem na bagna. Szańce zostały oczyszczone. Ian MacIan wydał z siebie jeden szaleńczy okrzyk, który bez trudu dotarł do fortu. Potem upadł, zwinął się w kłębek, drżący, obok nieprzytomnego Lehna, bełkocząc coś niespójnie.

Thekla, z najwyższym wysiłkiem utrzymujący się na palcach nóg, pod konarem drzewa, przestał się uśmiechać.

Mgły gorączki w końcu się rozstąpiły. MacIan obudził się, widząc pochyloną nad sobą różową, młodą twarz Lehna, nieco mniej różową niż zwykle.

Ręka Lehna niezręcznie wysunęła się do przodu.

— Przepraszam cię, MacIan. Thekla powiedział mi wszystko; zmusiłem go. Powinienem się domyślić. — Jego szare oczy były pełne wstydu.

MacIan uśmiechnął się i chwycił go za rękę z całą siłą, jaką pozostawiła mu gorączka.

— Moja wina, chłopcze. Zapomnijmy o tym.

Lehn usiadł na brzegu łóżka.

— Co zrobiłeś tym bagiennym szczurom? — zaczął dopytywać się z niecierpliwością. — Wszyscy mają na sobie jakąś powłokę, jakby zanurzono ich w parafinie!

MacIan zachichotał.

— W pewnym sensie tak było. Wie pan przecież, jak oni oddychają; każda komórka skórna stanowi miniaturowe ogniwo elektrolityczne, które wyodrębnia tlen z wody. No cóż, naturalnie, wyodrębniany jest również i wodór, i ten wodór jest nieustannie wydzielany, tak jak my wydychamy z siebie dwutlenek węgla.

— Czarny dym oznacza sadzę, a sadza oznacza węgiel. Węgiel plus wodór tworzą różne tłuste, woskowate węglowodory. Wosk jest nieprzepuszczalny zarówno dla wody, jak i powietrza. A więc, kiedy tłusta sadza z dymu połączyła się z wodorem wydzielanym z ciał Nahali, uszczelniła komórki skóry przed życiodajną wodą. Dosłownie podusili się na śmierć, jak ziemska mrówka obsypana proszkiem.

Lehn skinął głową. Przez długi czas milczał, wpatrując się w dokładnie wyszorowaną podłogę izby chorych. W końcu powiedział:

— Moja oferta jest wciąż aktualna, MacIan. Egzaminy oficerskie. Jeden błąd, uczciwy błąd, nie powinien zniszczyć ci życia. Nie wiesz nawet, czy byłaby jakakolwiek różnica, gdyby twoja decyzja była inna. Być może nie było wyjścia.

Biała głowa MacIana skinęła na poduszce.

— Być może, Lehn. Coś, co powiedział Thekla, skłoniło mnie do myślenia. Powiedział, że wolałby umrzeć na Marsie niż przeżyć kolejny miesiąc na wygnaniu. Ja też jestem wygnańcem, Lehn, w inny sposób. Tak, myślę, że spróbuję. A jeśli znowu mi się nie uda — wzruszył ramionami i uśmiechnął się — zawsze pozostają Nahali.

Przez chwilę wydawało się, że zasnął. Potem mruknął tak cicho, że Lehn musiał się schylić, aby go usłyszeć:

— Thekla zawiśnie po sądzie wojennym. Czy dopilnuje pan, żeby najpierw zabrali go z powrotem na Marsa?

KONIEC